

**NATE
BLAKESLEE**

WILCZYCA

**Opowieść o sile natury
i ludzkiej
obsesji zabijania**



**NATE
BLAKESLEE**

WILCZYCA

**Opowieść o sile natury
i ludzkiej obsesji zabijania**

tłumaczenie Martyna Tomczak


OTWARTE
Kraków 2018

Tytuł oryginału:

American Wolf: A True Story of Survival and Obsession in the West

Copyright © 2017 by Nate Blakeslee.

By arrangement with the author. All rights reserved

Copyright © for the translation by Martyna Tomczak

Wydawca prowadzący: Karolina Kaim

Redaktor prowadzący: Anna Małocha

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Ilustracje w książce: Eliza Luty

Projekt graficzny mapy: © David Cain

Adiustacja, korekty, łamanie: Wydawnictwo JAK

Projekt okładki i ilustracja na okładce (wilk): Michael Morris

Adaptacja okładki na potrzeby polskiego wydania: Eliza Luty, Nikola Hahn

Fotografia na okładce: © Tom Murphy / National Geographic Magazines /
Getty Images

Fotografia autora: © Jeff Wilson

ISBN 978-83-7515-490-0



Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na www.znak.com.pl

Dla Manny'ego i June

„Cudownie byłoby nie musieć podążać tropem polityki, praw, bydła, ludzi, myśliwych, dróg. Cudownie byłoby po prostu zostać w ciemnym lesie i skupić się jedynie na czystej, nieskrępowanej biologii: rozmiarach stóp i masach ciała, dietach, obszarach występowania i rozmieszczeniu. Byłaby to również fikcja”.

Rick Bass, *The Ninemile Wolves*

tłum. Martyna Tomczak

„(...) najdzikszyszy zwierz nawet
Zna przecie jakieś uczucia litości.
Ja nie znam żadnych, przetoż też nie zwierzę”.

William Shakespeare, *Król Ryszard III*

tłum. Józef Paszkowski

„Wszystkie opowieści są o wilkach. To znaczy wszystkie, które warto powtarzać. Pozostałe to sentymentalne brednie. (...) Pomyśl tylko. Jest ucieczka przed wilkami, walka z wilkami, pojmanie wilków, oswojenie wilków. Bycie rzuconym wilkom na pożarcie, rzucanie innych wilkom, żeby wilki zjadły ich, a nie ciebie. Ucieczka z wilkami. Zamiana w wilka. I najlepsze, przemiana w wilka przewodnika. Nie ma innych przyzwoitych historii”.

Margaret Atwood, *Ślepy zabójca*

tłum. Małgorzata Hesko-Kołodzińska

SPIS TREŚCI

	Od autora	11
	Genealogia Szóstki	13
	Mapa doliny Lamar	14
	Prolog. 6 grudnia 2012	17
Rozdział 1	Powrót wilka	25
Rozdział 2	W dolinie Druidów	45
Rozdział 3	Narodziny gwiazdy	69
Rozdział 4	Zabójcy	91
Rozdział 5	Król Currumpaw	111
Rozdział 6	Buntownicy	139
Rozdział 7	Iron Man	161
Rozdział 8	Powrót do doliny Lamar	175
Rozdział 9	Zdrada	201
Rozdział 10	Inwazja Mollies	223
Rozdział 11	Coś strasznego	239
Rozdział 12	Dziś w parku był dobry dzień	251
Rozdział 13	Miarka się przebrała	269
	Epilog	279
	Podziękowania	293
	Źródła	297

OD AUTORA

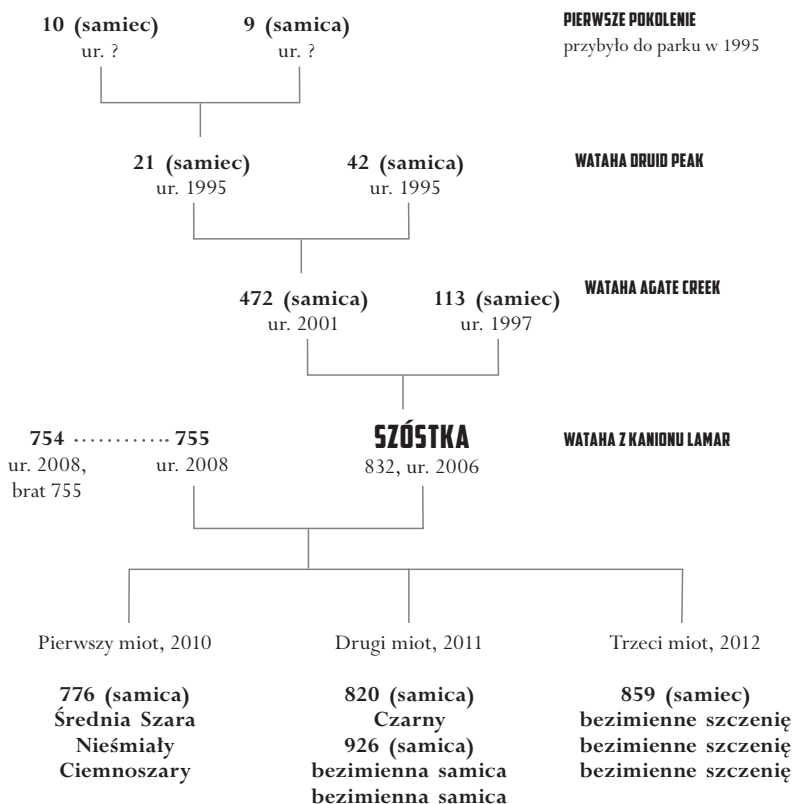
Wszystkie zawarte w tej książce sceny z udziałem wilków powstały na podstawie prowadzonych na bieżąco obserwacji. Nie byłoby to możliwe bez Laurie Lyman, która pozwoliła mi skorzystać ze swoich zajmujących około dwudziestu pięciu tysięcy stron notatek dotyczących wilków z Northern Range. Codzienne obserwacje Laurie, uzupełnione zebranymi przez nią wśród znajomych zapiskami z dni, kiedy nie było jej w parku, pozwoliły mi poznać watahę z kanionu Lamar i stały się podstawą moich opisów życia Szóstki i jej rodziny.

Również Rick McIntyre użyczył mi swoich notatek z kluczowych momentów życia watahy; po rozmowach z innymi obserwatorami opis tych scen nabrał dodatkowej głębi.

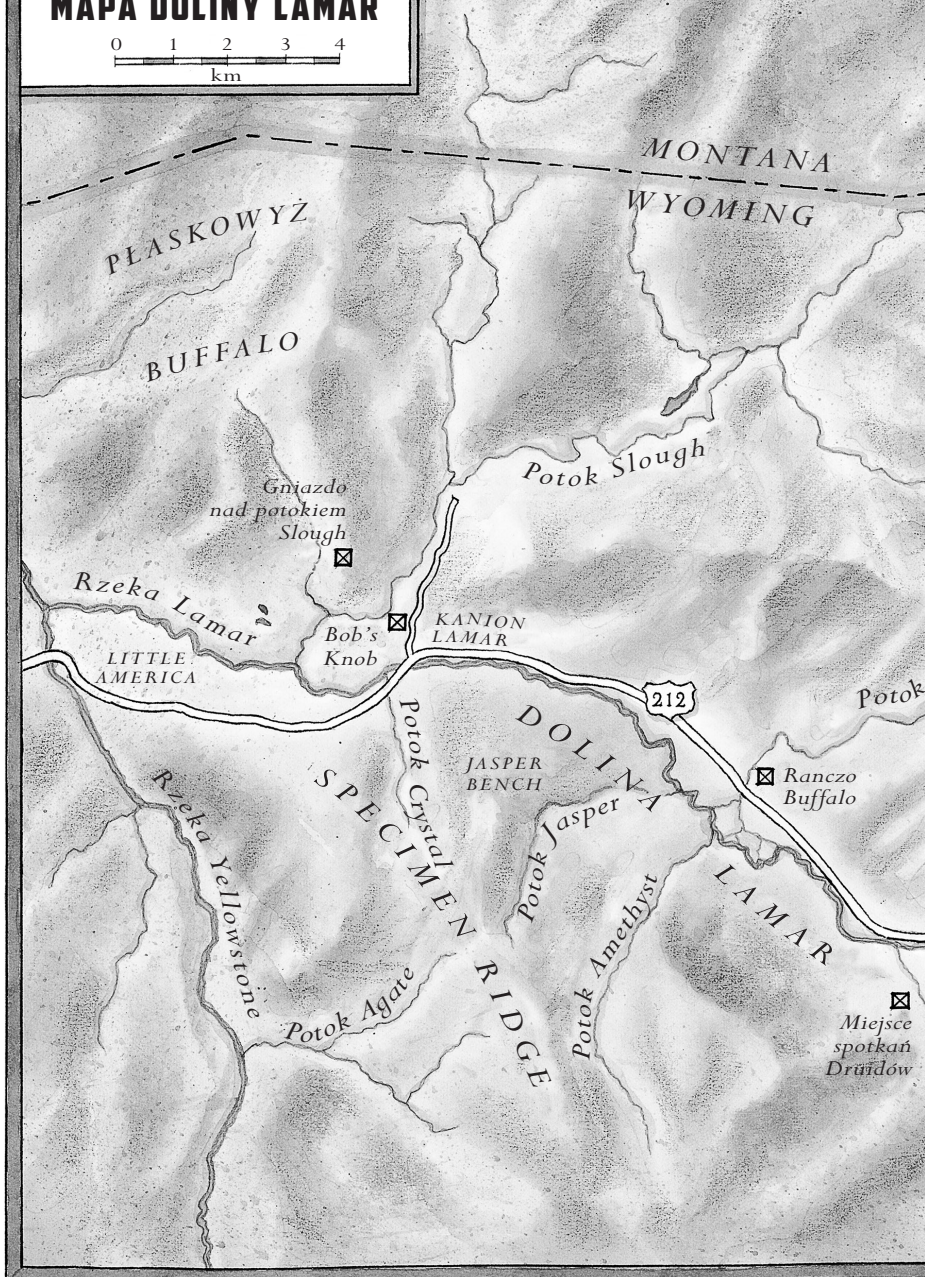
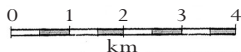
Pomocy, jakiej udzielili mi Rick i Laurie, nie należy traktować jako poparcia idei i poglądów zawartych w książce – ja i tylko ja biorę za nie odpowiedzialność.

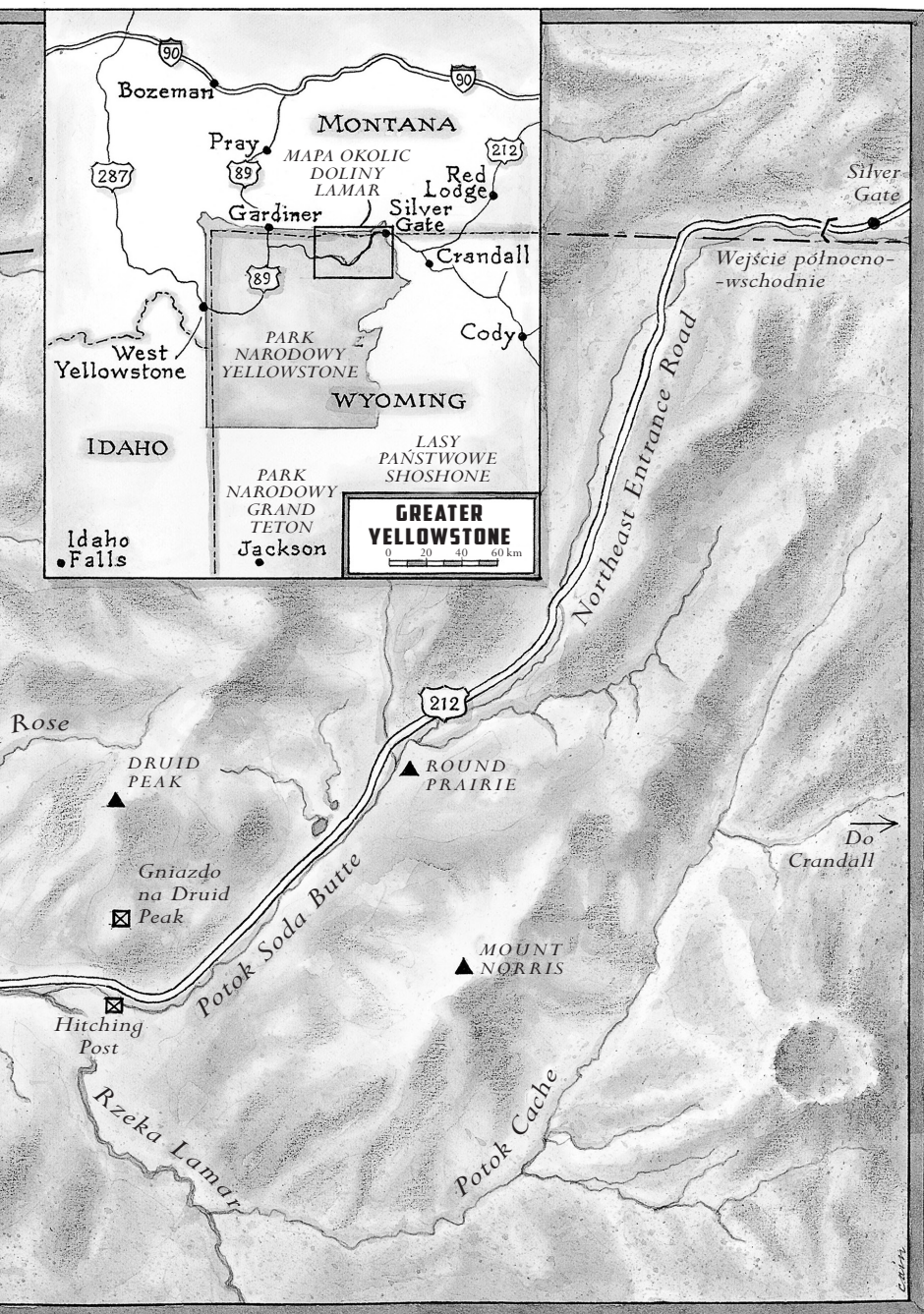
Nazwiska i cechy pozwalające na identyfikację Stevena i Wayne'a Turnbullów zostały zmienione, aby chronić ich prywatność.

GENEALOGIA SZÓSTKI



MAPA DOLINY LAMAR





PROLOG

6 grudnia 2012



Myśliwy zostawił auto na końcu zwirowanej drogi i zapadając się lekko, wszedł w świeży grudniowy śnieg. Był mężczyzną w średnim wieku, o szerokiej klatce piersiowej i jasnym spojrzeniu, ubranym w brązową koszulę marki Carhartt i ciężkie zimowe buty. Na śniegu zabarwionym na niebiesko w miękkim świetle wczesnego poranka krzyżowały się ślady wilczych łap. Mężczyzna poszedł ich tropem na skraj otwartego pola. Jakieś pół kilometra dalej wznosiły się strome, porośnięte lasem wzgórza, a szczyt z prawej strony przysłaniał poranne słońce.

Na sznurku wokół mocnej szyi mężczyzny wisiał brązowy plastikowy gwizdek w kształcie szachowego pionka. Przyłożył go do warg i kilkakrotnie ostro i szybko zagwizdał, raz po raz zakrywając dłonią małą żłobioną wypustkę na końcu, aby odtworzyć przejmujący krzyk konającego króla. Łudząco przypominało to płacz cierpiącego na kolkę niemowlęcia – dźwięk, którego mężczyzna nie słyszał od dwudziestu pięciu

lat. Odczekał pół minuty, po czym w rozrzedzonym górskim powietrzu popłynęło kolejne wołanie – na początku przenikliwe i bojowe, z czasem przechodzące w zrezygnowane kwilenie. Odgłos musiał brzmieć autentycznie i tego właśnie większość ludzi nie rozumiała. Dęcie w wabik jak w kazoo do niczego nie prowadzi: sztuczka polega na tym, by wyobrazić sobie, jak to jest być pożeranym żywcem przez kojota – poczuć grozę i ból takiej śmierci.

I trzeba cierpliwości. Myśliwy tropił watahę od tygodni, tu i tam napotykał jednego lub dwa wilki, ale nigdy nie zdołał podejść na tyle blisko, żeby oddać strzał. Zeszłej nocy wył, używając do tego tylko stulonych dłoni i własnego głosu, i po jakimś czasie usłyszał odpowiedź. Wtedy były niedaleko, teraz również. Cekał.

Nazywał się Steven Turnbull. Znajdował się w dolinie Crandall, głęboko w górach Absaroka na północny zachód od Cody w stanie Wyoming. Rzeka Clark's Fork, odnoga Yellowstone, płynęła wąskim wąwozem po zachodniej stronie doliny, gdzie tworzyła szerokie, płytkie, okolone sosnami rozlewisko. Łączyła się tam z potokiem Crandall, spadającym kaskadą z gór na skraju Parku Narodowego Yellowstone. Potok nazwano na cześć poszukiwacza złota, który zginął z rąk Indian wiosną 1870 roku w drodze do dobrze zapowiadającego się złoża nieopodal źródła Clark's Fork. Ponieważ najbliższa osada leżała ponad trzydzieści kilometrów dalej, ciało Marvinia J. Crandalla i jego towarzysza znaleziono dopiero rok później. Ekipa poszukiwawcza natknęła się przy brzegu na ich odcięte głowy, podobno zatknięte na ich własne kilofy.

Crandall nadal było dość nieprzystępnym miejscem, zwłaszcza zimą. Biegła tamtędy tylko jedna droga, dwupasmowa Chief Joseph Highway. Latem wokół krętej szosy roztaczał się malowniczy widok od Cody przez lasy Shoshone aż do Yellowstone, położonego trzydzieści parę kilometrów

od Crandall na jednym z najdzikszych terenów północnej części Gór Skalistych. Zimą pługi dojeżdżały zaledwie do zachodniego krańca doliny; podróż do Yellowstone wymagała skutera śnieżnego.

Przez okrągły rok w dolinie mieszkało nie więcej niż pięćdziesiąt osób. Niektórzy hodowali bydło, inni prowadzili gospodarstwa agroturystyczne bądź punkty myśliwskie. W jednym z nich, znanym jako Painter Outpost, podawano śniadania i piwo – zimą głównie podróżnym na skuterach śnieżnych oraz myśliwym, w lecie zaś nielicznym turystom na tyle zdeterminowanym, by wyruszyć do Yellowstone mniej uczęszczaną trasą.

Yellowstone stało się parkiem narodowym – pierwszym w historii kraju – niedługo po przybyciu tam Marvina Crandalla i innych poszukiwaczy złota. Teoretycznie chodziło o ochronę naturalnych zasobów przed wielką falą migracji na zachód, która przetoczyła się przez Góry Skaliste pod koniec XIX wieku. W rzeczywistości handlarze futer, którzy prędko rozpanoszyli się w parku, ignorowali ten zamysł podobnie jak wszystko, co szło z Waszyngtonu. Teraz w Yellowstone roiło się od turystów, przynajmniej w lecie. Turnbull rzadko tam bywał. Park należał do odwiedzających. Dolina Crandall – zwłaszcza przykryta metrową warstwą śniegu – to było prawdziwe Wyoming.

Było jednak coś, za co kochał Yellowstone – jelenie kanadyjskie, czyli wapiti. Każdej zimy olbrzymie stada opuszczały park, by przenieść się na położone niżej, mniej zaśnieżone pastwiska. Niektóre wędrowały na wschód wzdłuż dorzecza Clark's Fork do doliny Crandall, która przez długie miesiące stanowiła ich główną trasę przelotową. Turnbull ustrzelił ich tam przez lata tyle, że sam stracił rachubę.

Wszystko się jednak zmieniło, gdy do Yellowstone przybyły wilki. Kiedyś wapiti ściągały do doliny co roku, często

tysiącami. Można było wybrać sobie ofiarę niemal jak produkt z katalogu. Teraz człowiek miał szczęście, jeśli przez całą zimę zobaczył choć dwieście sztuk, a władze stanu Wyoming zaczęły racjonować licencje na zasadzie loterii. Resztą zajęły się wilki.

Te rozprzestrzeniły się w ciągu ostatnich lat daleko poza granice parku, do którego sprowadzono je ponownie w połowie lat dziewięćdziesiątych. Podobnie jak większość jego znajomych Turnbull od początku sprzeciwiał się tym planom. Uważał, że w Wyoming jest stanowczo za dużo wilków. Ale oczywiście nikt go nie pytał o zdanie.

To samo było z niedźwiedziami grizzly. Za dzieciaka rzucał sobie karimatę na ziemię w dowolnym miejscu w dolinie i spał pod gołym niebem. Teraz już tego nie robił. Ponieważ niedźwiedzie przez dziesiątki lat znajdowały się pod rządową ochroną, lasy były ich pełne – do tego stopnia, że można było je spotkać nie tylko w dzicy. Ludzie widywali je przy drogach i przed własnymi domami, gdy rano wchodziły im na ganki. Turnbull zawsze na wszelki wypadek nosił ze sobą do lasu magnum 44 (nawet w sezonie łowieckim, kiedy nie było to dobrze widziane).

Niedźwiedzie również polowały, zwłaszcza na nowo narodzone wapiti i łosie – lecz nie mogły się równać z wilkami. Przyrodnicy z Yellowstone twierdzili, że populacja zwierzyny łownej maleje przede wszystkim z powodu suszy, ale Turnbull tego nie kupował. Na własne oczy widział w lesie rozszarpaną padlinę.

★

Dla Turnbulla polowanie było istotą życia w Wyoming. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz poprosił w sklepie o wołowinę. Od czasu do czasu kupował trochę łoju, żeby z chudej jeleniny

ulepić dobrego burgera. Ale mięso oznaczało wapiti. I mimo że w tej części świata trudno było o twarde drewno, każdej zimy udawało mu się znaleźć odpowiednią podpałkę potrzebną do tego, żeby je dobrze ususzyć. Wystarczyło dodać solidną szczyptę grubo zmielonego pieprzu, odrobinę czosnku i nie było nic lepszego. Turnbull zamykał paski suszonego mięsa w foliowych torebkach i rozdawał znajomym – tym, którzy sami jeszcze nie mieli wypełnionych nim worków.

Przyjeżdżał tu każdej jesieni nie tylko dla mięsa. Kochał wapiti i kochał góry, które nazywał swoim miejscem na ziemi. Miał dom mniej więcej godzinę jazdy na wschód, w małym rolniczym miasteczku, ale większość czasu spędzał w chacie w Crandall, mając się rozmaitych zajęć w okolicy: latem młówał ludziom chaty, zimą ich doglądał, czasem ścinał drzewo – zadowalała go praca fizyczna każdego rodzaju.

Kiedy miał pięć lat, polował już z dziadkiem w lasach wokół Cody na króliki i kaczki. Jako nastolatek chodził na polowanie z należącym do matki starym krakiem, takim jak te, których amerykańscy żołnierze używali podczas pierwszej wojny światowej. Nie był pewien, jak stary jest jego karabin. Wiedział tylko, że dziadek ze strony matki dostał go w prezencie ślubnym, a później przekazał córce z okazji jej ślubu. Można było na nim polegać najwyżej do dziewięćdziesięciu metrów, prędkość wylotowa zaś była tak mała, że niemal było widać, jak pocisk wylatuje z lufy. Kiedy siostra poprosiła o kraka po śmierci rodziców, Turnbull się nie kłócił. Nosił już wtedy na ramieniu o wiele lepszą strzelbę, zresztą i tak rzadko jej używał. Ostatnio strzelał głównie z łuku. Zabijał z niego łosie, baribale, ważącego trzysta pięćdziesiąt kilo samca wapiti – każdą grubą zwierzynę, na jaką można się było natknąć w górach.

Uwielbiał elegancję łuku, z którego przecież (choć w znacznie bardziej prymitywnej wersji) w tych właśnie

lasach przez setki lat polowali na wapiti Indianie. Zawsze go uczono, aby przed oddaniem strzału podejść do zwierzęcia tak blisko, jak to możliwe, a pozostawienie strzelby w domu pozwalało mu doskonalić umiejętności tropielskie. Turnbull oglądał wszystkie telewizyjne programy o polowaniu, czytał magazyny łowieckie i zauważył, że obecnie kładziono raczej nacisk na strzelanie długodystansowe. Pewien producent broni z Cody stworzył strzelbę, z której można było podobno zabić jelenia z dziewięciuset metrów. Zdaniem Turnbulla było to nieetyczne. Idea uczciwego pościgu i gotowość wyrzeczenia się wszelkich metod dających myśliwemu niesprawiedliwą przewagę były dla niego czymś więcej niż pustymi sloganami.

Kolejną zaletą polowania z łukiem było to, że sezon zaczynał się we wrześniu, miesiąc wcześniej niż sezon na polowanie ze strzelbą, co oznaczało, że Turnbull mógł wejść do lasu, kiedy było tam jeszcze stosunkowo niewiele myśliwych. Crandall stawało się w ostatnich latach coraz popularniejsze wśród przybyszów z zewnątrz. Działali tu profesjonalni przewodnicy łowieccy, oferujący swoje usługi zamożnym klientom – choć nie było ich tylu co w czasach obfitości wapiti. Prywatne rancza wzdłuż Clark's Fork słynęły w świecie ze swoich nieprzetrzebionych stad i potężnych byków. Turnbulla nie było stać, żeby tam polować, ale wcale go to nie martwiło. Większa część Crandall to były lasy państwowe, gdzie strzelać mógł każdy posiadacz kosztującej pięćdziesiąt dolarów licencji – przy założeniu, że udało mu się ją zdobyć.

Wrześniowy początek sezonu był jego ulubioną porą na przebywanie w lesie. Pogoda wciąż dopisywała: dni były ciepłe, a chłodne noce wydobywały z liści osik, topoli i wierzb feryę jesiennych barw. Jelenie wabiły łanie ze swoich haremów charakterystycznym piskliwym rykiem i ścierały się z rywalami. Mięso należało zabrać jak najszybciej, temperatury były

na tyle wysokie, żeby dawać powód do obaw – choć i tak nikt nie zostawiał zdobyczy na noc w lesie ze względu na niedźwiedzie. Wróciwszy następnego ranka do zdobyczy, myśliwy znalazłby marne resztki albo gorzej: mógłby zastać leżącego na niej ponadtrzystukilogramowego grizzly.

W październiku zaczynały się polowania ze strzelbą na byki, a zazwyczaj w połowie listopada na łanie i cielęta. Sezon trwał do końca grudnia, ale Turnbull i później zawsze znajdował pretekst, żeby chodzić do lasu. Tropił wapiti z kamerą, filmował dorodne samce w ich ulubionych miejscach, uczył się rozpoznawać je po wieńcach. Późną zimą zbierał zrzucone poroże i czasami na podstawie swoich nagrań próbował zgadnąć, do którego byka należało. Las był pełen takich zrzućców. Turnbull napełniał nimi pikapa, a potem sprzedawał je na wagę w miasteczku. Zazwyczaj kończyły jako mączka do produkcji paszy. Wiosną przychodził sezon na baribale, a latem Turnbull trenował strzelanie z łuku własnoręcznie montowanymi strzałami. Tylko wtedy mógł ćwiczyć celność, nie gubiąc ich w śniegu.

Nie wolno było polować na grizzly – w każdym razie nie według prawa. Ale teraz nareszcie zezwolono na strzelanie do wilków. Turnbull nie wiedział, czemu biuromatom w Cheyenne i Waszyngtonie dostrzeżenie czegoś, co dla niego było oczywiste, zabrało tyle czasu. Nie chodziło o to, że wilki w Crandall mu przeszkadzały. W odróżnieniu od niektórych znajomych kowbojów, którzy przy pierwszej sposobności wybiliby je co do jednego, żeby chronić domowe bydło, uważał, że wilki mają swoje miejsce w krajobrazie. Należało je jednak kontrolować. Kiedy jesienią ogłoszono w Wyoming pierwszy od pięćdziesięciu lat oficjalny sezon na wilki, urzędnicy wyznaczili w tej części Lasów Państwowych Shoshone limit ośmiu sztuk i Turnbull znalazł się wśród pierwszych myśliwych w Crandall, którzy zapłacili dwanaście dolarów

za zezwolenie na odstrzał jednego wilka. Teraz, po dwunastu tygodniach, siedem wilków zostało zabitych, a niewypełniony kwitek wciąż tkwił w kieszeni Turnbulla. Zamierzał ustrzelić ostatnią sztukę.

★

Zbliżała się siódma, kiedy dwa wilki wyłoniły się wreszcie spośród wierzb na skraju lasu niecałe dwieście metrów od niego. Szły bark w bark po dziewiczym śniegu. Pierwszy, cały czarny, był tak wielki, że mógł być tylko samcem w sile wieku. Turnbull odgadł, że drugi to samica. Jej grube zimowe futro, pod spodem białe, na bokach ciemniało aż do szarości. Grzbiet znaczyły czarne smugi, które przypominały pelerynę. Z tej odległości wilczycę można by pomylić ze zbłąkanym malamutem, gdyby nie to, że stała obok swojego ciemnego towarzysza, który wyglądał dokładnie na to, czym był.

Wilki natychmiast zauważyły myśliwego, ale nie uciekły. Turnbull powoli podniósł strzelbę na ramię i przysunął celownik do oka. Miał czas, żeby wybrać.

POWRÓT WILKA

Trzy wilki ścigały łanię w dół stromego, pokrytego śniegiem zbocza pod niebem zasnutym ciężkimi ołowianymi chmurami. Na przedzie biegła niemal śnieżnobiała wilczyca, tuż za nią jej siostra, szara i dość spora. Kilka metrów z tyłu dojrzały czarny samiec o posiwiłym pysku i grzbiecie z trudem dotrzymywał im kroku.

Na szczycie wzgórza łanię otaczało stado, tutaj była sama. Gnała na łeb na szyję w stronę szerokiej doliny, omijając porozrzucane to tu, to tam omszałe głazy narzutowe, niektóre wielkości małej górskiej chaty, przeskakując przez to, przez co dało się przeskoczyć, i tratując gąszcze bylicy i jałowca. Teraz, wczesną zimą, ziemię pokrywała cienka warstwa śniegu; ten rodzaj podłoża zwiększał szanse łani. Jak na tak wielkie zwierzę – przynajmniej pięć razy cięższe niż którykolwiek ze ścigających ją drapieżników – była zaskakująco szybka i zwinna. Z położonymi po sobie czekoladowobrązowymi uszami i podskakującym owalnym zadem, płowożółtym jak wystające spod śniegu żdźbła turzycy, wydawała się nie do schwytania.

Kierowała się do rzeki jak większość wapiti, kiedy w pobliżu pojawiały się wilki. Głęboka woda dawała długonogim zwierzętom przewagę; kiedy wilk traci punkt zaczepienia, trudno mu ugryźć albo szarpnąć. Takie pościgi często kończyły się patem – jeleni stał po biodra w wodzie, łypiąc podejrzliwie na watahę wilków, która rozsiadała się na brzegu i czekała, aż lodowaty nurt zmusi ofiarę do wyjścia na ląd. Łania biegła w stronę rzeki Lamar, która niedaleko łączyła się z Yellowstone i tego zimowego poranka była skuta lodem. Może łania o tym nie wiedziała, a może w panice nic innego nie przyszło jej do głowy.

Wzgórze dzieliło od rzeki tylko jakieś czterysta pięćdziesiąt metrów, ale kiedy pościg przeniósł się na płaski teren, wilki szybko skróciły dystans. Cztery zwierzęta biegły teraz w jednej linii, z maksymalną prędkością, wzbijając chmury śniegowego pyłu przypominającego kurz buchający spod kopyt koni wyścigowych. W tej chwili chodziło już tylko o to, kto będzie szybszy, i psowate – pierwotni przodkowie chartów, nieskażeni chowem wsobnym, który pozbawił ich potomków muskularnych barków, wielkich łbów i potężnych szczęk – pędziły z czystą, radosną energią, na którą kopytnej nie było stać.

Na ostatniej prostej to szara wilczyca robiła największe wrażenie. Jej ciało jakby się rozciągnęło, wydłużyło, ziemia gładko umykała jej spod łap. Miała długie nogi – dłuższe niż pies – biodra zaś wąskie jak u geparda. Ogon wyciągnęła prosto, a jej łeb przypominał teraz spłaszczony trójkąt. Była jak strzała i w porównaniu z nią biedna łania poruszała się niezgrabnymi skokami. Ilekroć źle wymierzyła krok albo zachwiała się w głębszym śniegu, miała mniej czasu, żeby odzyskać równowagę. A potem czas się skończył.

Wilki pociągnęły ją na zamarzniete błoto między dwiema oblodzonymi sadzawkami.

Jakieś czterysta metrów dalej, na skraju drogi, stał mężczyzna i obserwował jedzące wilki. Nazywał się Rick McIntyre i pracował w Służbie Parków Narodowych. Był okutany w długą, czarną puchową kurtkę i tylko charakterystyczna zieleń spodni wskazywała na to, że jest pracownikiem parku. Znajdował się w części Yellowstone zwanej Little America, gdzie rzeka Lamar płynęła wśród niskich wzniesień i skalistych pagórków łańcucha Northern Range. Rick miał sześćdziesiąt lat, ale wysoki wzrost i smukła, wyprostowana jak struna sylwetka sprawiały, że wyglądał na młodszego, zwłaszcza kiedy przerzedzone rude włosy znikwały pod przylegającą do głowy czapką.

Śledził całą scenę przez lunetę obserwacyjną – coś w rodzaju teleskopu na statywie – używaną do podglądania dzikich zwierząt. Raz na jakiś czas sięgał w głąb kurtki, wyciągał z kieszonki na piersi munduru mały dyktafon kasetowy i opisywał, co widzi. Kilka oszczędnych, rzeczowych słów i sprzęt znikał w czeluściach kurtki. Przez większość czasu Rick stał bez ruchu i w milczeniu patrzył w lunetę. Była dziewiąta rano 12 grudnia 2009 roku, a on spędzał w parku trzy tysiące czterysta sześćdziesiąty siódmy dzień z rzędu. Ponieważ nie spał od czwartej, zbliżała się pora jego lunchu. Wilki często polowały o świcie i Rick lubił stawać na posterunku, kiedy tylko zaczynało się przejaśniać, czyli mniej więcej pół godziny przed wschodem słońca.

Samiec i biała samica, najwyraźniej para, miały szerokie skórzane obroże z nadajnikami radiowymi i właśnie dzięki temu je znalazł. W każdej watasze w Yellowstone przynajmniej jeden wilk został trafiony z helikoptera strzałką ze środkiem usypiającym. Mały zespół parkowych biologów nakładał mu obroże i przydzielał numer. Każdego ranka Rick wsiadał

do żółtego nissana SUV i jechał przed siebie, czekając, aż antena na dachu złapie sygnał, inny dla każdego wilka. Wtedy wyskakiwał z samochodu prosto w ciemność i skanował okolicę kieszonkowym odbiornikiem.

Kiedy tak obserwował trzy wilki szarpiące ciało łani, jego uwagę przyciągnęła szara wadera. Nie miała obroży, co znaaczyło, że nie przydzielono jej numeru, miała za to przydomek Szóstka, na pamiątkę roku urodzenia. Z tej odległości przez lunetę widać było wyraźnie każdy szczegół – równie dobrze wilczyca mogłaby siedzieć u jego stóp. Była piękna: miała gęste futro i budowę ciała masywniejszą niż większość samic, które zazwyczaj ważą około czterdziestu kilogramów. Czarne wilki niespecjalnie się od siebie różnią, za to każdy szary jest inny. Szóstka robiła wyjątkowe wrażenie: niewyraźne czarne obwódki wokół oczu kontrastowały z bliźniaczymi białymi smużkami wzdłuż grzbietu nosa. Biel futra na policzkach przechodziła w płową żółć po obu stronach pyska. Ta fizjonomia miała w sobie coś sowiego, co nadawało jej wyraz cichego skupienia.

Szóstka przysła na świat w watasze Agate Creek, jakieś osiem kilometrów na południe, niedaleko miejsca, w którym potok Agate wpływał do porowatego, siarkowożółtego kanionu Yellowstone. Jako roczniak opuściła watahę i przez ostatnie dwa lata biegała luzem, szukając partnera i własnego terytorium.

Do tej pory jej się nie udało. Zeszłej zimy Rick obserwował jej spotkania z pięcioma różnymi samcami. Z żadnym nie związała się na stałe, co było rzadkie u samotnej wilczycy. Było to również ryzykowne. Młody wilk, żeby znaleźć sobie partnera, musi opuścić macierzystą watahę, ale przebywając samotnie poza jej terytorium, jest w ciągłym niebezpieczeństwie. Niemal każdy zakątek Yellowstone należał do jakiejś

watahy nieustannie patrolującej swój rewir. Za samotnym wilkiem, który wszedł na obcy teren, niechybnie ruszał pościg, a czasem, zwłaszcza na granicach ościennych terytoriów, ścierały się całe watahy. Konflikt terytorialny był najczęstszą przyczyną śmierci wilków w parku – większość żyła nie dłużej niż cztery–pięć lat. Życie wilka było przygodą, tyle że zazwyczaj niezbyt długą.

Szóstka miała trzy i pół roku, a więc wkroczyła już w wiek średni. Żeby przeżyć, powinna szybko znaleźć partnera. Gdyby była samcem, sytuacja mogłaby wyglądać inaczej; młode wilczki, które nie zdołały znaleźć partnerki, były czasem przyjmowane do innej watahy. Nie miały prawa się rozmnażać – to był przywilej samca alfa – ale któregoś dnia mogły przejąć pozycję starzejącego się przywódcy. W watasze była zazwyczaj jedna rozmnażająca się samica alfa, która odrzucała niemal każdą nową przybyszkę zdolną urodzić własne szczeniaki. Niewiele samotnych wilków obu płci znajdowało to, czego szukały; albo wracały do macierzystej watahy, albo umierały w pojedynkę z daleka od domu.

Szóstka miała jednak talent do wymykania się pościgom, a wyjątkowy spryt i animusz czyniły ją jedną z faworytek Ricka. Kilka miesięcy temu przyłączyła się do zaobrożowanej pary, którą widział właśnie w obiektywie lunety – swojej starszej siostry oraz niespokrewnionego z nimi samca – i cała trójka polowała razem na obrzeżach terytorium watahy Agate Creek, wypuszczając się coraz dalej na północ w poszukiwaniu niezajętych rewirów.

Układ ten nie zapowiadał się na długotrwały. Szóstka była wybitną łowczynią, a zatem stała się cenna dla swoich towarzyszy, ale sama niewiele z tego miała. Wiosną jej siostra się oszczeni i zostanie samicą alfa nowego stada. Póki będzie zdrowa i płodna, Szóstka będzie musiała się jej

podporządkowywać w każdej sytuacji. Rick sobie tego nie wyobrażał. Po prostu nie nadawała się na samicę beta, która czeka cierpliwie, aż dadzą jej szansę urodzić szczeniaki. To byłoby niezgodne z jej temperamentem.

*

Prababka Szóstki była jednym z pierwszych wilków sprowadzonych do parku w ramach reintrodukcji. Zimą 1995 roku schwytano je na równinach zachodniej Kanady, mniej więcej tysiąc trzysta kilometrów na północ od Yellowstone, i samolotem, a potem ciężarówką przetransportowano do parku. W tamtym czasie w Yellowstone wilków nie było już od prawie siedemdziesięciu lat. Szare wilki, niegdyś wszechobecne między arktycznym kołem podbiegunowym a dzisiejszą stolicą Meksyku, przez wieki wyłapywano i truto. Wojna toczyła się o ich cenne futra, a także w obronie bydła domowego. W latach dwudziestych na terenie kontynentalnych Stanów Zjednoczonych została ich zaledwie garstka.

Ostatnie wilki, o których się sądzi, że przyszły na świat w Yellowstone – para szceniąt odkrytych niedaleko potoku Soda Butte, jakieś dwadzieścia pięć kilometrów od miejsca, w którym stał teraz Rick – zostały zastrzelone w 1926 roku. Nie przez kłusowników, ale przez strażników parku. Niemal od samego początku istnienia parku, założonego w 1872 roku, prowadzono rygorystyczny program odłowu drapieżników przede wszystkim po to, by chronić dużą zwierzynę – wapiti, antylopy, łosie i muflony – uważaną za główną atrakcję Yellowstone. Strażnicy na koniach kończyli to, co zaczęli traperzy: odnajdywali wilcze gniazda, zabijali szczenięta, a potem pozbywali się dorosłych osobników, tropiąc je lub zastawiając na nie pułapki.

Jako gałąź nauki ochrona dzikich zwierząt była wciąż w powijakach i zarząd parku szczerze wierzył, że pozostawione

samym sobie drapieżniki zdziesiątkują populację zwierzyny łownej. Nie zdawali sobie sprawy, że wilki i wapiti koegzystowały w Yellowstone od tysięcy lat. Właściwie ewoluowały wspólnie – to właśnie dlatego wapiti potrafią biegać tak samo szybko jak wilki, ale nie szybciej. Wilki były siłą napędową rozwoju wielu gatunków zwierzyny łownej po ostatniej epoce lodowcowej i dosłownie kształtowały otaczający je świat. Potężna sylwetka łosia, zwinność jelenia wirginijskiego, niezwykła stabilność muflona – architektem tych i innych niezliczonych cudów natury był wilk.

Pierwsi zarządcy Yellowstone nie rozumieli także, jak nieobecność drapieżników wpłynie na ekosystem. Po zniknięciu wilków kopytne rozmnażały się na potęgę, a jakość środowiska szybko zaczęła się pogarszać. Oskubane zbocza erodowały, огоłocone z krzewów brzegi strumieni zaczęły się sypać, niszcząc siedliska pstrągów. Pasące się swobodnie, nieatakowane przez drapieżniki wapiti, przetrzebiły drzewostan młodych osik i wierzb. W zbyt licznych stadach rozpleniły się głód oraz choroby i po gwałtownym wzroście populacji nastąpił nagły spadek.

W latach trzydziestych władze parku nie miały wyboru i musiały zrobić to samo, co wcześniej zrobiono z wilkami. Po cichu rozpoczęto odstrzał w olbrzymich stadach wapiti. Co roku zabijano tysiące zwierząt (zazwyczaj zimą, kiedy w parku przebywało mniej turystów mogących być świadkami rzezi). To trwało do lat sześćdziesiątych, kiedy myśliwi z terenów przylegających do parku zmusili swoich oficjalnych reprezentantów do interwencji. Mniej jeleni w Yellowstone oznaczało mniej jeleni migrujących poza jego granice, a zatem mniej okazji do polowania. Po raz kolejny więc pozwolono im mnożyć się do woli.

Idea rozwiązywania problemu za pomocą wilków pojawiła się już w latach czterdziestych, ale dopiero trzydzieści lat

później rząd zaczął się poważnie zastanawiać nad reintrodukcją. Władze Idaho, Wyoming i Montany (stanów otaczających park) żarliwie sprzeciwiały się temu pomysłowi pod naciskiem dwóch grup mających ogromny wpływ na lokalną politykę: hodowców bydła i myśliwych. Ranczerzy, których przodkowie pomagali wytępić drapieżniki w górach, bali się utraty zwierząt domowych, kiedy wilki rozprzestrzenią się poza granice parku. Tymczasem myśliwi wiedzieli, że wilki będą się żywiły ich ukochaną zwierzyną (a przecież dopiero niedawno zdołali przekonać władze parku, żeby przestały do niej strzelać). Każdy zabity przez wilka wapiti był dla nich straconą okazją, wilki zaś zabijały ich mnóstwo.

W północnych Górach Skalistych polowanie było potężnym źródłem zarobku nie tylko dla zawodowych przewodników myśliwskich, których byt zależał od stałego dopływu klientów, ale także dla restauracji i moteli, z których każdej jesieni korzystały rzesze przyjezdnych. Jako gatunek zagrożony wilki byłyby chronione, nawet gdyby wyszły poza teren parku, ale żeby zdobyć poparcie sąsiednich stanów, rządowa agencja U.S. Fish and Wildlife Service (Służba Połowu i Dzikiej Przyrody) złożyła im obietnicę, że gdy tylko populacja wilków osiągnie odpowiednio wysoki i stabilny poziom, zwierzęta te znikną z listy zagrożonych gatunków i każdy stan będzie mógł postępować z nimi wedle woli. Rozumiano to tak, że w pewnym momencie zostanie ogłoszony coroczny sezon polowań na wilki. Mimo to przeciwnicy pomysłu walczyli do końca, a otwarcie wilczych klatek opóźniało się, podczas gdy sędzia federalny rozpatrywał ostatnie wnioski.

W końcu jednak zwolennicy reintrodukcji zwyciężyli i z wielką pompą wpuszczono wilki do parku. Sekretarz zasobów wewnętrznych Bruce Babbitt i dyrektorka Fish and Wildlife Mollie Beattie osobiście pomagali nieść klatki przez

głęboki styczniowy śnieg. Wilkom z Yellowstone założono obroże z nadajnikami i na początek wypuszczono je na trzy wybiegi aklimatyzacyjne, każdy o powierzchni około czterdziestu arów. Szefowie projektu liczyli na to, że po spędzonym tam czasie mniej wilków wyruszy w drogę powrotną do domu. Prawda była jednak taka, że nikt nie wiedział, co się wydarzy. Nikt nigdy wcześniej tego nie próbował.

★

Miesiąc po otwarciu wybiegów w marcu 1995 roku stracili pierwszego wilka. Znany jako 10, był zdecydowanie najpiękniejszym zwierzęciem w całej przywiezionej z Kanady grupie, istnym ucieleśnieniem samca alfa. Samo uśpienie go, niezbędne, by założyć mu obroże, okazało się nie lada wyzwaniem – dwa razy złapał strzykawkę i złamał ją w zębach. Większość schwytanych wilków reagowała na ludzi przerażeniem, ale 10 miał niepokojący zwyczaj patrzenia swoim porywaczom prosto w oczy. Biolodzy biorący udział w projekcie umieścili go na wybiegu z 9, dojrzałą samicą, i jej dorosłą córką, 7, choć to, czy się polubią, wcale nie było pewne. Ku zaskoczeniu badaczy 9 i 10 połączyły się w parę jeszcze przed opuszczeniem wybiegu. Całą trójkę, już jako nowo powstałą watahę, wypuszczono na wolność z nadzieją, że zadomowią się w parku i wkrótce w Yellowstone przyjdzie na świat pierwszy od dziesięcioleci miot wilcząt.

Alle 10, jego ciężarna towarzyszką i podążająca za nimi 7 wyruszyły na północ przez Druid Peak i po opuszczeniu parku, skierowały się do serca dzikich górskich terenów Absaroka i Beartooth. Dwa dni później Doug Smith, szef biologów, złapał ich sygnał z małego samolotu. Znajdowały się wysoko ponad linią drzew w urwistych górach Absaroka i wędrowały w stronę płaskowyżu Beartooth. W to miejsce – położone na

wysokości ponad trzech tysięcy metrów bezdrzewne, skaliste pustkowia – zimą mogły dotrzeć tylko wilki, choć te pochodzące z równin zachodniej Kanady prawdopodobnie nigdy w życiu nie zetknęły się z podobnym wyzwaniem.

Długoterminowy cel projektu był taki, żeby wilki stopniowo skolonizowały Greater Yellowstone Ecosystem – dziłki, rozciągający się na ośmiu milionach hektarów teren wokół parku. Wiadomo było jednak, że nie dokonają tego w ciągu pierwszego tygodnia i na pewno nie przed zasiedleniem samego parku, wolnego od kłusowników, domowego bydła i ruchliwych autostrad. Cała trójka wróciła w końcu do Yellowstone, ale wówczas zła pogoda na jedenaście nieznosnych dni uniemożliwiła Smithowi latanie. Nie był w stanie określić miejsca pobytu watahy.

Kiedy ją wreszcie zlokalizował, 7 była niedaleko, ale wyglądało na to, że para alfa znów wywędrowała z parku, sześćdziesiąt pięć kilometrów na północny wschód, tam gdzie kończą się góry Absaroka, a zaczyna centralna równina Montany, niedaleko miasteczka Red Lodge. Sygnał z obroży 9 wskazywał, że przebywa ona w jakimś w miarę dostępnym miejscu na zboczu Mount Maurice. Natomiast nadajnik 10 pikał dwa razy szybciej niż zwykle: był to tak zwany śmiertelny sygnał oznaczający, że wilk prawdopodobnie nie żyje.

Kiedy Smith i jego drużyna dotarli piechotą do punktu, z którego doszedł ostatni sygnał 9, odkryli, że wilczyca założyła gniazdo – zwykły, pośpiesznie wykopany dołek w ziemi – i najwyraźniej tam urodziła, chociaż zarówno ona, jak i szczeniaki zniknęły bez śladu. Smith nie mógłby sobie wyobrazić gorszego scenariusza, a mimo to nie zamierzał się poddać. Wysoki, smukły i przystojny, z gęstą, niesforną ciemną czupryną i sumiastym wąsem, był nie tylko biologiem, ale również prawdziwym człowiekiem gór – potrafił stworzyć projekt badania i napisać świetną pracę naukową, ale równie

swobodnie czuł się, polując na wapiti albo wychylając się z helikoptera z bronią do usypiania w dłoniach.

Na pomoc w odnalezieniu szczeniąt Smith wezwał Cartera Niemeyera, najlepszego tropiciela, jakiego znał. Niemeyer sporo wiedział o 9 i 10, ponieważ to właśnie on sprowadził je z Kanady. Zanim dołączył do Yellowstone Wolf Project, jak nazywano działania reintrodukcyjne, pracował jako licencjonowany traper zabijający „problematyczne” drapieżniki na zlecenie właścicieli farm i rancz, a także jako zawodowy wypychacz zwierząt. Zatrudnienie takiego człowieka przy programie mającym na nowo sprowadzić do parku drapieżniki mogło się wydawać dziwne, ale agencja Fish and Wildlife potrzebowała kogoś, kto zdobędzie zaufanie lokalnych traperów w oddalonych od cywilizacji zakątkach zachodniej Alberty. Niemeyer, który obdarł w życiu ze skóry tysiące kojotów – a przy okazji niejednego wilka – był idealnym kandydatem do tej roboty.

Zadanie okazało się niełatwe. Podejrzliwi wobec każdego, komu zależało na żywym wilku, traperzy wymagali od Niemeyera, wówczas czterdziestoośmioletniego, niemal dwumetrowego olbrzyma, aby udowodnił im, że wie, co robi. Pewnego wieczoru z nożem w dłoni wylądował na podłodze traperskiej chaty i wraz z jednym z miejscowych, po tym jak razem upili się winem czeremchowym, przystąpili do konkursu w skórowaniu na czas świeżo zabitego wilka. Niemeyer zwyciężył i wrócił do Yellowstone z upragnionymi wilkami.

Teraz, wspinając się po zboczach Mount Maurice i pochrząkując jak wilczyca, która szuka swoich młodych, Niemeyer usłyszał wreszcie wyczekiwane skomlenie i piski dobiegające spod grubej warstwy skalnych odłamków. Ekipa poszukiwawcza wyciągnęła spod kamieni osiem szczeniaków i odstawiła je razem z matką do parku, gdzie były odtąd znane jako wataha Rose Creek.

***Wilczyca* to fascynująca historia jednego z najważniejszych dokonań obrońców przyrody – przywrócenia populacji wilka w Parku Narodowym Yellowstone. W Polsce, gdzie wilki są chronione i cieszą się powszechną sympatią, tę książkę powinniśmy czytać jako ostrzeżenie przed czymś, do czego nigdy nie możemy dopuścić.**

ADAM WAJRAK

Człowiek stał się panem świata przez swoją obsesję zabijania. Zaopatrzony w broń decyduje o przetrwaniu tych, których uzna za słabszych.

Jedną z jego ofiar stała się Szóstka, najbardziej znana na świecie wilczyca, obserwowana w social mediach przez miliony ludzi. Silna przywódczyni stada, inteligentna wojowniczką i kochająca matka. Przez jednych uwielbiana za wyjątkową waleczność, przez innych traktowana wyłącznie jako zwierzę do odstrzelenia. Pewnego dnia Szóstka ginie z rąk bezwzględnego myśliwego.

Nate Blakeslee, uznany reporter śledczy, wprowadza nas w burzliwy spór między politykami, myśliwymi oraz obrońcami przyrody, którego osią jest życie i śmierć fascynującej wilczycy. Rozmowy z przedstawicielami wszystkich stron, materiały sądowe i prasowe tworzą wyjątkowy obraz konfliktu nierównych przeciwników – cywilizacji i natury. Czy człowiek może decydować o jej losie?

E-book dostępny na
wóblink.com


WYDAWNICTWO
OTWARTE



Cena 39,90 zł